

„Śmieci”

Czas się zatrzymał. Choć może płynie gdzieś w oddali.
Nie są dla mnie żadną miarą tykające zegary.
Nawet oddech stał się tak płytki, niezauważalny
Cichcem życie przemyca do półprzytomnego płuca.
Śnieżycy na ekranie nie drażni mnie wcale
Przeciwnie: szmer wszystko inne zamienił w ciszę.
Odrapane ściany mienią się odbitym światłem
Demaskując archaiczną tapetę pełną przebarwień.
Rzut oka na szafę: brak skrzydła u drzwi
W środku puste butelki po nalewkach, puszki
Ciuchy rzucone w kącie tworzą stos pod sufit
Będący obskurnym tłem dla nagiej żarówki
Mimo półmroku, w którym skąpany był pokój
Dociera do mnie groza, żaloszny obraz
Odbijający się w mych oczach wyschniętych jak pieprz
Głowa opadła na pierś. Patrzę indziej gdzieś.
Kiedyś chyba był tu dywan. Dziś nie ma go już
U mych nóg zostało zarzygane linoleum
Jeszcze czuć lekki smród kałuż zaschniętych w strup
Oraz kurz, rzep i brud czepiający się stóp.
Nagle się wściekam! Spostrzegając przedsiónek piekła
Ujawniony przez migający ekran
Ni stąd ni zowąd, zaczęły mi przeszkadzać szmery...
Uśmiech w kąciuku ust demaskuje me zamiary.

Chuj! Dam polatać pustej butelce, którą mam w ręce!
Huk, trzask! Cisza... pokój spowiła ciemność, nic więcej...

Zabrała mi poczucie, że w ogóle jestem
Nie widzę nic, nie czuję, tak tu pusto, bezszelstnie...
Jestem sam. W obskurnym mieszkaniu
Zamkniętym na głucho, na wpół wyprzedanym
Rozpłynęła się wraz z dymem pewność siebie, buta
Przestraszony jak dziecko pomocy szukam.
Rozpinam ramiona, otwartej dłoni nikt nie chwytą
Zaprasza mnie do siebie jedynie telewizja
Jestem sam, przeświadczony o tym, że tylko ogień
Z zapalniczki daje w nocy ciepło bezinteresownie
Dociera do mnie gorycz. Wiem, co należy robić
Gdy ciśnie w żołądku: zniszczyć ją, zabić, zdusić w zarodku!
Za każdym razem, gdy dla świata czuję się zbędny

Jak wrzód niepotrzebny, wtedy sięgam do kieszeni.
Ogrzewam metal uściskiem, obracam ją w palcach
Błyska iskra. Uciekający gaz w raz rozpala
Zapalniczka. Ją trzymam nawet jak zgasną światła
Tak jak dzisiaj mi pomaga, pomagała od dawna.
Radosny płomycek frywolnie puszcza do mnie oko
Wytrąca z letargu. Barwiąc ściany na czerwono
Przywraca świadomość – jestem najebany, jak zawsze.
Uciekam od świata i nic na to nie poradzę
Płomyku, wskaż mi drogę! Osuwam się z fotela
Na czworaka, na podłodze, gdzieś tu była butelczyna pełna wina.
Kurwa mać, gdzie ta pizda się podziała!!!
Poświecę pod łóżkiem, może coś zostało z rana...

...JEST! Jest flaszeczka, ale pełna tylko do połowy
Trudno, działanie alkoholu wzmocnią psychotropy
Powoli w głowie zaczyna się pierdolić od nich
Ale chuj z tym, gdy lęk obwieszcza, że ból nadchodzi.
Koi go już samo grzechotanie wewnątrz fiolki
W poszukiwaniu ulgi sięgam po kolejne ampułki
Z kolei siara śluz z gardła wypala
Skulony batalię staczam z żołądkiem, aby nie zwracać
Boże, tak bardzo pijany, przesadziłem z lekami
Jebane niepohamowanie teraz mści się na mnie
Poprzez skurcze, trzęsienie rąk, niemowlęcy ślinotok
Niespokojne spojrzenie zawieszony przez mrok
Jak w próżni – daremnie szuka jakiejś redy, przystani
Wodzę oczami w oceanie, chcąc zawiesić wzrok na niej.
Ciemność zabrała pokój, kolory, kształty
Rzucam się jak zwierz, szukając odrobiny światła
I dostrzegam je, uciekają wzrokiem z sali
Uśmiecha się z oddali, przez szparę pod drzwiami.
Teraz, wiotki jak zwłoki leżące w kącie
Patrzę tępo. Na drugim mieszkania końcu
Moje wąskie okienko na świat woła „Wstań!”
Lecz ja nie dam rady sam...nie dam rady sam!

Bezradny jak plankton w morskich odmętach, rzucony jak ścierka
Przez gwałtowne dreszcze po zażytych lekach
Z głową wbitą w ścianę, zerkam poprzez załzawione oczy
Nieruchomo utkwione w oślepiający blask spod drzwi
Jasność załamuje się w pryzmacie łzawych zwierciadeł
Rzuca refleksy, tańczy, jak po niespokojnej wody tafli

Przyjmując cudowne kształty. W ten sposób przetworzone
Proste światło spod drzwi jako cud dociera do mnie!
To wspaniałe, że tak małe rzeczy potrafią tak cieszyć!
Mam dosyć ciemności! Chcę opuścić ten pokój!
Nie mam zamiaru dłużej nurzać we własnym smrodzie
To koniec wychodzę!
Wychodzę! Wypuście mnie! Wypuście! Aaaaaa....

Akurat teraz nędzne ciało odmówiło posłuszeństwa
Nie pozwoli wejść na ścieżki normalnego człowieczeństwa
Jedyny przejaw aktywności więziącego mnie tu ścierwa
To roztelepana ręka i mimowolny odruch wymiotny.
Drapie w gardle sztynek osranych gaci
Drażni wilgoć nogawki – już puściły zwieracze
Przerażenie i żal, dusza wybucha płaczem
Tak, nadchodzi ten czas! Nie może być inaczej!...

Nie czuję żadnego bólu. Tylko lekki chłód
Dreszcz przechodzi po karku uwalniając z ciężarów
Emocje odeszły razem z lodowatym oddechem
Rozpłynęły się w powietrzu i nie wrócę już więcej.
Dziwne. Wiotkość mięśni jakby mnie nie dotyczy
Ruch nie pozostawia śladów, w postaci wysiłku
Czyżby koniec niemocy? Staję na równe nogi
I odkrywam, że żadna siła się mnie nie ima!
Grawitacja nie trzyma. Tracę kontakt z podłogą
Jak w niebycie, lewituję, tak spokojnie, tak błogo
Taki czysty, jakbym zrzucił wielki ciężar z serca
Z wysokości patrzę w dół, a tam mój...trup.
Wstrząsem jest dla mnie widok z innej perspektywy
Zniesmacza mnie nawet w tej chwili, jest tak sugestywny.
Oblekam spojrzeniem pogardy. Jestem martwy. To nic
Taki śmieć jak ja nie zasługuje na to, by żyć.

Wtem krzyk! Dociera do mnie mimo zamkniętych drzwi
Hałasy – wredna materia nie powstrzymała ich
Wzniesione przez nią barykady okazały się za słabe
Odbijając się od ściany dźwięk dosięga mej membrany
Słaby zdziśiatkowany, wychwytyję go z trudem
Lecz bez problemu ustalam, co jest jego źródłem
Rozpoznawalna na kilometr chrypa w głosie
To ten skurwiol z naprzeciwka najebany znowu robi w domu burdel.
Pamiętam jeszcze, za...za życia

Czasy gdy miałem pracę, gdy żywiła mnie fabryka
Ten sam pejzaż: przyjeżdżam z powrotem po robocie
A przed blokiem zastępy dzieci bawiących się w błocie.
Ubrane skromne, pozostawione same sobie
Toczą wojnę o bilon znaleziony w wodzie
Tak co dzień. Z czasem było już tylko gorzej
Padłem ofiarą „restrukturyzacji” w przedsiębiorstwie
Zaszyłem się w tej norze. Pobudka wcześniej z rana
Na dzień dobry alpa, by nie dopuścić do kaca
I znowu te bachory. Staczały się wraz ze mną
Do szkoły? Nie ma mowy! Zresztą kto ich tam pilnował
Gdy w domu wojna domowa, uciekały jak najdalej
Waliło mnie to. Całkiem już zobojeźniałem
Dobrze im tak, niech pozabijają się nawzajem
Przynajmniej spokój będzie. Lecz to ja martwy jestem!
To mnie wykończyło toksyczne środowisko
Nie miałem siły wstać. Wygodniej było umrzeć
Teraz mam jednak czas, aby się temu przyjrzeć
Nie kępuje mnie nic, żadne bariery fizyczne.
Jak w stanie nieważkości, poruszam się miarowo
Ruchem jednostajnym, kilka centymentów nad podłogą
Mimo to, nawet jako astral jestem niespokojny
W ścianach naokoło mnie wyczuwam żyły wodne
Opuszczam pokój, me truchło znikło w ciemnościach
Nie odczuwam z nim więzi, nie będę się wiec cofać
Naprzód. Ciekawość pcha mnie ku drzwiom wejściowym
Chwileczkę: jak w tym stanie mam zamiar je otworzyć...?

Dłoń znikła, w ślad za nią druga ręka...

(Przenikam przez drzwi! Przenikam przez te pieprzone drzwi! Przenikam przez drzwi!)

...czuję całym sobą zapach, smak starego drewna
Tłamszony przez aromat niedbale nałożonej farby
Nim się spostrzegłem, byłem już na korytarzu
Jak tu jasno! Atakuje mnie lawina bodźców
Otwarte okno, hałas w rurach, spokojna praca mierników prądu
Wszystko zakłócone krzykiem
I płaczem, drażniącym jak pisk kredy o tablicę
W głębi korytarza drzwi: jedne, drugie, trzecie
Zamknięte na głucho. Wyrozumieli sąsiedzi
Już nie dzwonią po władze. Wiedzą, że to nie ma sensu
Krzyk kołysze ich do snu w każdy kolejny wieczór.
Pierdolone skurwysyny, przyjdzie kiedyś czas i na was

Tak jak na mnie dzisiaj, na was także spadnie kara
Teraz to widzę. Nie ostrzegę was jednak
Na mnie czas. Przenikam przez drzwi do sedna piekła...

Przywitany przez rozbite lustro
Krwawe smugi na ścianie i szkło w chodnik powbijane
Przemierzam przedpokój. Po lewej stronie boazeria
Zryta czymś na kształt paznokci – nie mogę odwrócić oczu
Na podłodze zerwany siłą pukiel rudych włosów
Trzy pary dziecięcych butów porzucanych w chaosie
Na wprost pomieszczenie zamknięte szczelnie – przechodzę
Nic materialnego nie stanie mi na przeszkodzie
Zamykam oczy – otwieram je po drugiej stronie
Dzieci. Na starym skrzypiącym tapczanie
Siedzą przytulone razem. Spuchnięta twarz dziewczynki
Nosi ślady uderzenia, po ojcowsku, na odlew
Siniak pulsuje na policzku, zaschnięta krew pod nosem
Spuchniętą górną wargę żywcem palą łyżę słone
Całe ciało dygocze. Potok słów wypowiedzianych
Rozpaczliwym bełkotem, więźnie jak w kleistym błocie
W końcu rozdygotana spoczywa na ramieniu brata
Najchętniej została by tam do końca świata.
Strachem napawa to, co ten chłopak ma w oczach
LÓD. Pielęgowaną nienawiść w czystej postaci
Skierowaną w ojca. Wszystko może się zdarzyć
Bo samokontrola jest na bardzo słabej podstawie
Impuls – i się zawali, zginie, spali w otchłani
On na razie oszczędny w ruchach, wyrachowany
Tylko patrzy na drzwi, zza których dochodzą krzyki
Szuka pretekstu, by uzewnętrznić swą wściekłość.
Młodszy brat jest teraz w innym świecie
Uciekł w świat fantazji, azyl, wyśnione miejsce
W ten sposób, tylko fizycznie siedzi w tym piekle
Samemu będąc tam, gdzie jest pięknie.
Nie oszukają mnie chowając się za maską
Całej trójce paniczny strach ściska gardło
Upuszcza krew. Nie mają sił uciekać
Lecz ten sam strach każe im wierzyć, że gdzieś tam jest nadzieja
Że zapadnie wreszcie cisza. Jednak końca koszmaru nie widać
Czuję to, gdy do drugich drzwi się zbliżam.

Miarowe wrzaski milkną – dziwne
Jak mocno trzeba bić, by aż tak straciły na sile?

Tylko słabnące charczenie tłumione konsekwentnie i stek przekleństw
Cedzonych przez zęby w furiata szaleńczym gniewie
Wielką zagadką są kształty odbijające się w szybie pękniętej
Wzrok wprowadza w błąd, nie wiem, co się tam dzieje
Przenikam przez szkło tak słabo wmontowane w odrzwia
Że prawie wypadło. Unoszę wzrok.....

Matko Boska.....

Głowa wciśnięta w kąt między ścianą a tapczanem
Oczy tak popodbijane, że nie widzi nic na nie
Krew leci nieustannie z napuchniętej, fioletowej bani
Rozpaczliwie chwytają życie źrenice rozbiegane
Z nosa tryska posoka. Strugą zalewa usta
I wciska się do krtani, tam blokuje oddychanie
Tłuste palce oprawcy zaciśnięte na gardle – dusi
Grymas rozpaczy na porozbijanej twarzy ofiary
Skóra skurwysyna za paznokciami – nic to nie daje
Zapamiętały w swoim zamiarze morduje dalej
Drugą ręką zdziera ubranie
„Ty kurwo, teraz inaczej się z tobą zabawię!”
Ona próbuje wykrzesać odrobinę oporu
Echo uderzenia w porozpierzdanym pokoju
On na siłę penetruje swoim zdechłym kutasem
Gęsty pot i krew w powietrzu mieszają się razem
Ja kurwa na to wszystko patrzę, nic zrobić nie mogę
Wtem drzwi – szyba wypada na podłogę...

To najstarszy z trzymanym w ręce nożem
Kuchenne światło stawiało go w bladej poświacie
Oczy z emocji wyprane nie mówiły nic
„Zostaw ją” – wyszeptał tak cicho, że ledwo usłyszałem.

Ojciec w pierwszej chwili zbladł, ale wkrótce się ocknął
Chrząknął, splunął siarczyście: „Ty mały skurwysynu!”
Jedno cięcie, z grdyki buchnęła jucha
Niedokończone słowo porwała krew spływająca na pierś!
Wieprz się podniósł, zadygotał w powietrzu
I rzucił się jak wściekły jakby chciał zabić swoje dziecko
Lecz nie, to nie to!
Rzęząc ciężko, jedną ręką tamował ranę, drugą szukał czegoś
Co uratuje jego cielsko przed śmiercią nadciągającą jak metro
Krwawy szlak znaczył ślad, biegnąc wyleciał na zewnątrz

Nagle w sposób niekontrolowany wpadł na ścianę
Krokiem pijanym szedł wzdłuż niej – gasł
Już miał sięgać dzwonnka u drzwi sąsiada
Gdy plecy przeszył straszny ból i poczuł jak spada
Dopał go własny syn! Dźgał jak wściekły, krzyczał przez łyzy
„Taki śmieć jak ty nie zasługuje na to, by żyć!”

Stał nad dygoczącymi zwłokami z lepкими od krwi rękami
Półtepy nóż do mięsa utkwiał we włochatych plecach
Spokój sąsiadów zmaćił i to chyba na zawsze
Wyszli i po prostu stali. Nie mogli przestać patrzeć.
Zlustrował ich spojrzeniem.
„Na co się kurwa gapicie?! Tu nie ma nic do oglądania!”
Ciszą zadrżało otoczenie...
„Wypierdalać do domów! Ale już!”
Skowyt zawiasów, kurtyna opadła, w tle syreny...

Moja kara miała dopiero nadejść
Brama piekła się otworzyła, więc czas już iść
We dwóch, pójdziemy razem, potępieni na zawsze
Bo takie śmieci jak my nie zasługują by żyć.

Moja kara miała dopiero nadejść
Brama piekła się otworzyła, więc czas już iść
We dwóch, pójdziemy razem, potępieni na zawsze
Bo takie śmieci jak my nie zasługują by żyć.

Moja kara miała dopiero nadejść
Brama piekła się otworzyła, więc czas już iść
We dwóch, pójdziemy razem, potępieni na zawsze
Bo takie śmieci jak my nie zasługują by żyć.

Moja kara miała dopiero nadejść
Brama piekła się otworzyła, więc czas już iść
We dwóch, pójdziemy razem, potępieni na zawsze
Bo takie śmieci jak my nie zasługują by żyć.